

Inga Iwasiów – pisarka, literaturoznawca, wykładowca akademicki (prof.), pracownik Uniwersytetu Szczecińskiego i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autorka opowiadań, tomików poezji, eseistyki. W latach 1999–2012 redaktor naczelna dwumiesięcznika literackiego „Pogranicza”. Wydała publikacje naukowe: „Kresy w twórczości Włodzimierza Odojewskiego. Próba feministyczna” (1994), „Opowieść i milczenie. O prozie Leopolda Tyrmanda” (2000), „Rewindykacje. Kobieta czytająca dzisiaj” (2002), „Gender dla średnio zaawansowanych. Wykłady szczecińskie” (2004). Jej powieści „Bambino” (2008) i „Ku słońcu” (2010) są głęboko osadzone w powojennej historii Szczecina i Pomorza Zachodniego.



Fot. Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

Nie płaczę nad brakiem korzeni

Z Ingą Iwasiów
rozmawia
Katarzyna Uczkiewicz

Proces zakorzeniania się Polaków na ziemiach przyznanych Polsce po II wojnie światowej opisuje się niekiedy w kontekście rytuału przejścia. Ma on trzy fazy: separacji, liminalną (graniczną) i inkorporacji. W której fazie tego procesu jesteśmy, Pani zdaniem, dziś my, mieszkańcy ziem zachodnich?

Mam wrażenie, że odnawiamy czy odgrywamy rytuał dopiero teraz. Gdyby powiedzieć, że to już trzecia faza, zlekceważyłabym tę zadziwiającą **potrzebę roztrząsania tożsamości**, którą obserwuję u ludzi różnych pokoleń. Żadnej „płynnej tożsamości”. Oczywiście, ludzie od dawna nie żyją na tekturowych walizkach, z poczuciem tymczasowości, myślą raczej o konieczności przemieszczeń w związku z ekonomią, a nie zagrożeniami politycznymi (choć ten wątek nie znika zupełnie), lecz zarazem chcą mówić o pochodzeniu „stamtąd”: z Kresów, z Warszawy, z Poznańskiego, z Galicji. Odłożona **trauma przesiedlenia**, ale i poszukiwania miejsca w powojennej Polsce decyduje o zainteresowaniu, jakie przejawiają starsi mieszkańcy. Pamiętajmy, że nie wszyscy zostali przesiedleni, ten obraz jazdy bydlęcym wagonem ze Wschodu na Zachód funduje opowieść najważniejszą, poza nią pozostają osoby ze zrujnowanej Warszawy, biednych wsi, ofiary nacjonalizacji; motywów wyboru było wiele. Uczestnicy tamtych zdarzeń dopiero dziś mają szansę na społeczną terapię. Co z młodszymi? I oni interesują się kwestią pochodzenia. Nie należy lekceważyć faktu, że obserwujemy koniunkturę na opowieści przesiedleńcze. Z drugiej strony sytuacja młodych ludzi dzisiaj jest niestabilna, więc szukają wyjaśnień tej niestabilności. Jako potomkowie przesiedlonych mają prawo do partycypacji



w najdramatyczniejszych doświadczeniach XX w. To może rekompensować poczucie zagrożenia już nie zmianą granic, bo tych pozornie nie ma, ale marginalizacją ekonomiczną.

W powieści „Bambino” Szczecin lat powojennych opisuje Pani w kontekście wielkiej historii, ale jego bohaterowie żyją niejako obok niej. Choć biorą udział w wydarzeniach historycznych, to często padają wręcz ich ofiarą, ma się wrażenie, że te „wielkie sprawy” ich nie obchodzą, że nie mają potrzeby zaangażowania się. Jest to postawa niezależna od tego, z jakiego środowiska bohaterowie pochodzą. Czy uważa Pani, że oderwanie od korzeni, przerwanie ciągłości wywołuje swego rodzaju atrofię postawy zaangażowanej?

Nie ujęłabym tego tak. Chciałam opisać nie tyle atrofię, ile raczej powszedniość. Moim zdaniem człowiek jest zaangażowany przede wszystkim we własną egzystencję. Poza tym to kwestia środowiskowa. Możemy mówić o tradycjach zaangażowania, lecz czy te tradycje, model wywodzący się ze środowisk wiejskich i inteligentkich, dotyczyły także biednych, dostojnie miotanych przez historię ludzi? Czy do zaangażowania nie muszą zaistnieć odpowiednie warunki? „Naturalny” czy „instynktowny” patriotyzm, duch oporu, świadomość polityczna to mity dyskursywne. Jeśli moi bohaterowie cierpią na atrofię, raczej jest to spętanie emocjonalne po wydarzeniach wojennych. Wychodzą z niego powoli, ale Cezarego Baryki z nich nie będzie. Diagnoza ich stanu jest kwestią techniki literackiej: fazy świadomości można obserwować „z lotu ptaka”. W codzienności, dzień po dniu, bohaterowie starają się żyć, więc ich wybory nie mają z góry nadanego sensu, ani metafizycznego, ani politycznego.

Oderwanie – niekiedy dobrowolne odcięcie się – od korzeni stanowi w Pani powieściach jedną z przyczyn ruiny życia bohaterów (do czego prowadzi brak wzorców postępowania, osłabiona kontrola społeczna). Odrzucenie wzorców z przeszłości bywa postrzegane przez Pani bohaterów jako szansa na lepsze życie, czy jednak – paradoksalnie właśnie z powodu braku zakorzenienia – nie jest to szansa niemożliwa do wykorzystania?

Nie, ja nie płaczę nad brakiem korzeni. Nie mam złudzeń. Zerwania ciągłości mogą być korzystne zwłaszcza dla kobiet,



ale mechanizmy patriarchalnego społeczeństwa upominają się o swoje. Popatrzymy na zdjęcia z odbudowy miast. [Nie-mal same kobiety](#). Popatrzymy na zarządy tych miast w tym samym czasie. Sami mężczyźni. Czytam powojenne opowiadania pisarek i pisarzy: nie bardzo chciałabym żyć w rodzinach z autorytarnym ojcem i rodzącą co rok matką. To są też korzenie bardzo wielu osób osiedlonych na Ziemiach Zachodnich, nie ten mityczny dworek, nie mieszczańska rodzina. Nie powtarzam ideologicznego sloganu o awansie społecznym, myślę o czymś innym. O utracie, wyrwie bardziej osobistej, bo dotyczącej statystycznie każdej rodziny w tej części świata w tamtym czasie. Ważniejsze niż korzenie – tradycja, ład, wartości – wydają mi się osobiste straty, śmierć ludzi, zniszczenie dobytku. To przesunięcie semantyczne: mówiąc o korzeniach, budujemy skalę wartości, mitologię, uniwersalny przekaz. W perspektywie osobistej to może być pustka i zarazem szansa. W pustkę wchodzą odbicia z przeszłości, jakieś odnogi korzeni. Moi bohaterowie cierpią z powodu decyzji politycznych, których nie analizują, a zarazem z powodu przestania tymi odnogami. Wiemy dziś, że w ideologii komunistycznej było wiele nawiązań do konserwatywnych tradycji w sferze obyczajowo-rodzinnej. Owszem, żłobki i stołówki, ale relacje poci oparte na męskiej dominacji. Kobiety miały mieć czas na pracę zarobkową, co nie miało wpływu na podział ról. Jeśli moje bohaterki na coś liczyły, na pewno nie była to powtórka z przeszłości, którą tak czy owak zaoferowała im współczesność. Krótko mówiąc: [„Bambino” to powieść krytyczna wobec dyskursu zakorzenienia](#).



Akcja „Bambino” kończy się na początku lat osiemdziesiątych. Kolejne pokolenia, bohaterowie powieści „Ku słońcu”, są bardziej świadomi ponadosobistych aspektów swego życia, angażują się w historyczne wydarzenia bądź świadomie się od tego uchylają. Czy tęsknota – niektórych z nich – za życiem niejako poza społecznością i jej uwarunkowaniami jest w ogóle możliwa do realizacji?



Zapewne nie, ale dobrze jest mieć przed oczami jakieś utopie. Choć to stary dylemat, to wydaje mi się aktualny w czasach, gdy dominuje dyskurs pragmatyczny, a aspekt komunikacyjny w relacjach społecznych wydaje się ważniejszy od więzi. „Ku

stońcu" pokazuje ludzi mało elastycznych, niechętnych ha-
słom kreatywności, mobilności i dostosowania. Niechętnych,
co nie znaczy, że odizolowanych, pozamykanych w jakichś pry-
watnych światach. To osoby, które nie przyjęły do wiadomości
rzekomej nieuchronności zmian kulturowych. W recenzjach
zarzucano mi, że bohaterowie „Ku stońcu” reprezentują esta-
blishment, nie zaś wykluczonych. Cóż, to moje pokolenie, moje
środowisko. Ta jego część, która nie osiąga spektakularnych
sukcesów, ponieważ nie ma ochoty myśleć w kategoriach zy-
sku, konkurencji, eventów, medialności. W tym sensie faktycz-
nie są poza głównym nurtem.

*Młode pokolenie mieszkańców ziem zachodnich jest tu za-
domowane, czuje, że jest stąd. Modne staje się odkrywanie
niemieckiej historii tych ziem, jej ponowne dowartościowanie,
a następnie przewartościowanie. To ciekawość czy potrzeba
łączności z przeszłością miejsca, w którym się żyje?*

Sadzę, że także moda, i nie ma w tym twierdzeniu przygany.

*Niemieckie wątki w Pani książkach są nieustannie obecne jako
znaki swego rodzaju „zakazanego języka”. Dziś w powszechnej
świadomości wracają – nie jako forma pamięci, martyrologii,
sentymentu, ale jako park rozrywki – w formie strywalizowanej.
Jaki będzie tego skutek?*

Ten język jest nie tyle zakazany, ile po prostu niedostępny. Już
nie jest zakazany, lecz wywietrzał, wytarł się, zarósł. Ścisłej
mówiąc – nie bez planu, bo w końcu skutecznie zacierailiśmy
ślady, burzyliśmy cmentarze, niszczyliśmy książki, zakrywa-
liśmy ściany hasłami propagandowymi. Teraz grzebiemy
w tym czymś, co nawet nie jest palimpsestem, bo nie tyle
nadpisaliśmy, ile napisaliśmy po swojemu. Przeszłość jako
park rozrywki? Żyjemy w parku rozrywki, bo podobno inaczej
ludzie już nie potrafią. Historię trzeba odegrać, gdyż młodzi
nie rozumieją opisu podręcznikowego. Otóż moim zdaniem
ta zmiana percepcji jest przeceniana i nawet w sensie atrak-
cyjności turystycznej sprzedawanie niemieckości ma bardzo
płytką granicę.

*Poszukiwanie i problematyzowanie własnej tożsamości jest
znakiem naszych czasów. Bohaterowie Pani powieści radzą*



sobie z tym w różny sposób, np. Tomek zdaje się świadomie dążyć do zakorzenienia, Magda to współczesny nomada, a Marek ucieka w „świat osobny”. Postawy te wydają się niezwykle jednoznaczne. Na ile dorastanie na „ziemi niczyjej”, a raczej „nie wiadomo czyjej” nasila potrzebę samookreślenia?

Nie jestem tego pewna, nie przeceniałabym takich symbolicznych uwarunkowań. Moi bohaterowie wybierają tak, jak to się działo i dzieje. Kiedy myślę o swoim pokoleniu – czyli pokoleniu Magdy – widzę nas w różnych częściach świata. Więcej mam koleżanek z dzieciństwa na emigracji niż na miejscu. Magda jest nomadką trochę na przekór obrazom kobiecej emigracji deklasującej, czyli obrazom kobiet na przykład sprzątających, opiekujących się starszymi osobami. O takiej emigracji pisałam w „Smakach i dotykach”. Tomek faktycznie jest człowiekiem osiadłym, ale gdyby było trzeba, pewnie umiałby znaleźć się w świecie. Marek przenosi typy zachowań bliskich mi także pokoleniowo: czytanie, związki, przyjaźnie, prywatność. Poza dającymi się parametryzować pobudkami emigracji i wyborami stylów życia istnieje coś takiego jak melanż przypadku i indywidualnych predyspozycji. Banalnie mówiąc: jedni lubią jeździć, inni wolą mieszkać przy jednej ulicy; jedni podejmują wyzwanie, inni będą wyjazd traktować jak wygnanie. To niekoniecznie jest zdeterminowane brakiem zakorzenienia. Jako pisarka staram się posługiwać nie tylko wiedzą, ale także intuicją i doświadczeniem. Dla mnie Szczecin nie był nigdy „ziemią niczyją”, bo po prostu tu się urodziłam. Nigdy nie myślałam o wyjeździe, być może boję się nieznanych miejsc. Umiem wyobrazić sobie różne motywacje, a jednak najlepiej znam własną.

Czy potrzebujemy korzeni, wspólnej pamięci topograficznej? Jeżeli tak, to po co?

O kwestii korzeni już mówiłam, może nieco Panią rozczarowując. Powiem jeszcze coś bardzo osobistego. Parę miesięcy temu umarła moja babcia i wciąż oswajam się z myślą o tej stracie. Kieruje mną miłość, nie potrzeba patrzenia wstecz. Przodkowie, rodzina są mi potrzebni jako osoby, ale są też narratorami mikrohistorii. Te mikrohistorie, oczywiście, budują moją tożsamość, jednak gdyby były inne niż są – też by ją budowały. To, że wiążą się ze mną, jest najważniejsze.





Pamięć topograficzna? Na pewno stanowi mapę, po której łatwiej się poruszać. Ale pamięć topograficzna i korzenie to nie to samo. Korzenie tkwią poza wzrokiem, w ziemi, trzymają w miejscu. Pamięć topograficzna skłania do opowiadania, uruchamia skojarzenia, daje się porównywać z pamięcią innych narratorów. Znamy te cudowne odkrycia, że z kimś chodziliśmy tą samą ulicą do tej samej szkoły, że cukiernia, że jabłoń, że zakole rzeki. Taki sentymentalizm w pełni akceptuję.

